

Nie ma jednej odpowiedzi

z MARIUSZEM LIBELEM

ROZMAWIAJĄ KONRAD KUBALA ORAZ PRZEMYSŁAW PLUCIŃSKI

Władza Sądzenia (WS) / Przemysław Pluciński (PP) / Konrad Kubala (KK): Pozwólmy sobie na odrobinę genealogii Twożywa i cofnijmy się do lat 90. minionego już wieku. Bywają one przywoływane i interpretowane „duchologicznie”, ale też – już mniej nostalgicznie, bo w utowarowiony sposób – są dziś przestrzenią otwartego kulturowego recyklingu. Dla Was stanowią jednak konkretne i realne doświadczenie, źródło formacyjnych doświadczeń. Jakie były Wasze lata 90.?

Mariusz Libel (ML): Rzeczywiście mitologizujemy czasy naszej młodości dokładnie tak, jak mówisz; to chyba bardzo naturalny odruch. Mam natomiast wrażenie, że wydarzenia teraźniejszości trochę nakryły chaotyczny czar lat 90., może przez symetrię... Wracając do pytania, każde nowe pokolenie bardzo szybko dowiaduje się o problemach świata i próbuje je rozwiązać. Nie jest tak przerażone wizją grobu, charakterystyczną dla tych, którzy nami rządzą, bo to zawsze są osoby bardzo dojrzałe. Pewnie z tego powodu poważne problemy krążą od jakiegoś czasu wokół „ocalenia przed szponami kresu” i ogólnie pojmowanego przetrwania, stając się punktem ciężkości. Starzejące się – czy używając innego słowa – rozwinięte społeczeństwa, takie jak europejskie, tym bardziej przychyłają się do takiego widzenia przez rządzących meritum rzeczy. Taki stan pojawia się nie przez przypadek w momencie szczytu, czyli przesilenia materialistycznego. Biologiczna egzystencja jest jedyną wartością, a empiryzm jedyną epistemologią, śmierć warunkuje teleologię. Dokładnie odwrotnie ma

się rzecz z duchem młodości przepelnionym idealizmem i witalizmem.

Specyfika lat 90. w Polsce i bloku wschodnim miała jednak pewną swoistość, która na krótką chwilę nieco wybijała się z tego, o czym wspominałem. Wyż demograficzny połączony z upadkiem systemu komunistycznego, rozumianego jako zniewalający, nadawał duchowi tamtych czasów ogromne pokłady nadziei połączonej z zagubieniem w nowych realiach. Z jednej strony niewątpliwe rozpasanie wygłodniałych „splendoru smaków zachodu” obywateli, całkowicie zrozumiałe, biorąc pod uwagę posępność i wymuszoną ascezę lat 80. Z drugiej pojawiające się pierwsze mleczne zęby nowego ładu, które może najlepiej zobrazują wszechobecne „szczęki bazarowe”, ostatecznie wyparte przez strzeliste wieżowce biurowców wgrzające się w niebo.

Dla nas [czyli Pinokia/Twożywa] podówczas z jakiegoś powodu tamta hipnotyczna melodia doznawania i gromadzenia pełna była dysnansu. Myślę, że odpowiadała za to tradycja kontrkulturowa, pod urokiem której wzrastaliśmy. Trudno się spodziewać po kilkunastoletnich chłopcach, żeby czytali jakąś ciężką, poważną literaturę postmodernistyczną [która pojawia się nieco później]. Raczej wywodziło się to z takich ikon kultury, jak punk rock, tych idei wolnościowych. Patrząc na to z perspektywy czterdziestoparoletniego człowieka, myślę, że tutaj następuje konfrontacja z duchem czasu. Przeświadczenie, że niekoniecznie ten duch czasu jest naszym największym przyjacielem, być może jesteśmy narzędziami w jego rękach i nawet, mówiąc szczerze, to bycie kontrkulturą

Jestem po krachu finansowym, dla pieniędzy zrobię wszystko

Przyjmę reklamę na antenie satelitarną. Mam balkon w agustu

Samotna matka w trudnej sytuacji finansowej prosi o pomoc. Ola. Drohiczyn

Wysyłam odzież najbardziej potrzebującym. P. z Lubina

Pieniądze leżą koło ciebie. Podpowiem, jak je znaleźć

USTROJSTWO TRANSFORMACJI

Z powodu wyjazdu do USA wybranemu oddam fiata 126 (1988)

Szukam sponsora. Marek, Szczytno

Własna praktyczna zrobotna cena 100 zł

STARTUJĘ W BIEGACH MARATOŃSKICH – POSZUKUJĘ FIRMĘ, ŻEBY JĄ REKLAMOWAĆ PODCZAS BIEGU.

szuka pracy

EROTIC CLUB SZUKA GAYÓW MÓWIĄCYCH PO NIEMIECKU, SULECIN, SKRÝTKA

Masz spr... Nie prz... Zarób milion w minucie. Stargard, skr. poczt.

Opiekę nad grobami. Mogę przesłać zdjęcie. C. Nawrocki

Sex-man, przywid opatentowany

Młody, atrakcyjny przyjmie pracę towarzysza lub jako pan do towarzystwa

ZDRADZĘ, JAK UROSNĄĆ? MAX ZE SKIERNIEWIC

Sprzedając... imię żółwe... forturne

wcale nie oznacza, że byliśmy mocno w kontrze do tego ducha czasu. Byliśmy raczej jego aspektem. Zwróćcie uwagę, że lata 90. i początek dwutysięcznych to był w dużej mierze chóralny sprzeciw wobec konsumpcjonizmu. To nie zostało w żaden sposób zaimplementowane w prawodawstwo, nie było żadnego echa z góry. Pewnie dlatego, że było to właśnie w kontrze do opisanego wcześniej „głodu mas”. Podejrzewam też, że rolę odegrało w tym psychologicznie wytresowanie do lęku przed niedostatkiem, więc potem nadmierne konsumowanie było odpowiedzią na dekady niedoborów. Młodzi ludzie nie byli poddani jeszcze tego typu obróbce. Gwoli jasności, „nieumiarkowanie” nie było jedynym wątkiem, który napędzał nas wtedy, ale dobrze ilustruje specyfikę czasów.

Podówczas odkryliśmy istnienie czegoś, co nazywa się po prostu trasowiec. Jest to osoba, która porusza się po tkance miejskiej, określonym zestawie punktów A, B, C, D i to w najbardziej optymalnych dla siebie połączeniach komunikacyjnych, minimalizując drogę. Po prostu każdy z nas ma reżim efektywnego zarządzania własnym czasem. Idea była taka: żeby dotrzeć do tych ludzi, którzy są w swoich trasach, musimy się rozpropagować. Przestrzenie i w centralnych miejscach, na stylkach komunikacyjnych i stąd tramwaje, autobusy, stąd centra miast, ale też inne dzielnice... Lecz co za tym idzie, ta trasowość nie jest tylko cechą przemieszczania się w czasoprzestrzeni, ale również, moim zdaniem, cechą myślenia. To znaczy na pewnym etapie nasze ścieżki myśli podążają zawsze podobnymi drogami. To jest całkowicie naturalne i chodziło trochę o to, że tym, co robiliśmy, robić wyłom w tych ugruntowanych ścieżkach czy też nurtach.

WS/PP: Te praktyki „trasowania” były raczej intuicyjne, czy też wynikały z jakichś wcześniejszych lektur? Spontanicznie pomyślałem o sytuacjonistach.

ML: Pojawiały się lektury, ale ponieważ wywodzi się ze środowiska tzw. klasy robotniczej, były raczej chaotyczne jak ziny, czasem pewnie modne. Na pewno bardzo dużo rozmawialiśmy i wymienialiśmy się wiedzą. Każda praca to były naprawdę długie rozmowy. To nie jest tak, że po prostu ktoś gdzieś coś napisał i narysował, to, co robiliśmy, wynikało z debat, rozmów. Myślę, że właśnie to było kwintesencją tej grupy – wymiana i konsensus.

WS/KK: Opowiedz, proszę, jak szliście w to miasto? Najpierw, jak rozumiem, spotykaliście się w rozmowie. Ale kiedy już wychodziście na zewnątrz, czy chcieliście otwarcie konfrontować się z otoczeniem, czy raczej działaliście w przestrzeni miejskiej bez głębokiego przekonania o tym, że ludziom trzeba rzucać snop światła, żeby stali się bardziej świadomi okoliczności, w których przychodzi żyć nam wszystkim? Nie chciałbym tutaj redukcja problemu do opozycji „ewangelizować” – pytać, ale z drugiej strony nie sposób zapomnieć o pytaniu o Wasze rudymtarne intencje.

ML: Pierwszy plakat, jaki zrobiliśmy, przedstawiał metamorfozę człowieka w trybik, a towarzyszyły mu słowa „czy obietnica w świecie zdrady jest lepsza od szukania?”. Bardzo pilnowaliśmy, by unikać stanowisk propagandowych/reklamowych. Bo czym różni się propaganda od twórczości? Propaganda wyrasta z pogardy, namawia do swojej racji, bo ma już odpowiedź, i często nawet tworzy problem – żeby implementować w nas pewne kwestie, a twórczość mierzy się z problemem i pyta, ufając odbiorcy. Odpowiedź może rodzić się w umysłach odbiorców, będzie wieloraka, zróżnicowana. Różnica sprowadza się do: zamknięte i otwarte.

Oczywiście, ostatecznie sztuka stała się narzędziem tak zwanego soft power i to było gwoździem do trumny jej kariery solisty



w chórze cywilizacji. Już nie tylko merkantylizm sztuki posyłający ją w kicz, ale właśnie ten soft power, w którym artyści, w dużej mierze z dobrej woli wspierają konkretne narracje, konkretne „izmy” i właśnie przez to finalnie tracą zaufanie odbiorców.

WS/PP: Czy byłbyś w stanie jeszcze nieco rozwinąć wątek Waszego undergroundowego zaplecza? Art-punk, fanziny, szablony... Miewałem poczucie, że – ujmując to w nieco przenośny sposób – bywaliście bliżej squatów niż galerii.

ML: Myślę, że relatywnie dużo chodziliśmy do kina na klasykę. Galeria pojawiła się

stosunkowo późno, po kilku latach; na pewno nie była naszą natywną przestrzenią i to jest prawda. Z racji bycia w fazie ciekawości błąkaliśmy się w dziwnych zakamarkach tamtego barwnego czasu. Bywaliśmy na spędach grup parareligijnych, federacji anarchistycznej i muszę przyznać, że to tam dało się odczuć różnicę pomiędzy nimi a nami. Niezrozumiała dla mnie dogmatyzacja i jakaś anachroniczność zamiast anarchiczności. Oni, kiedy posłuchali tego, co mamy do powiedzenia, zapytali, czy jesteśmy „jakimiś straight edge’ami”. Daleko było nam do ascezy straight edge’u, bo po prostu interesowało nas działanie. Poczuliśmy, że to nie jest nasza flaga. Zobaczyliśmy, że tam też



jest hierarchia, że tak naprawdę to są pułkownicy, eksploatacja wydrążonej pustej formy. Ta kultura wydawała nam się trochę antykwaryczna.

WS/PP: Czerpaliście przy tym jednak z tych kontrkulturowych zasobów estetycznie, wizualnie?

ML: Trudno mi mówić o formie. Forma jest zawsze dla mnie kłopotliwa. Zdecydowanie lepiej czuję się w treściach. Co do formy, rzeczywiście wychowaliśmy się na szablonach na murach z lat 80. Szablony nas wychowały, Pomarańczowa Alternatywa czy Towarzystwo Malarzy Pokojowych, pojawiały się ziny, ale bez szafu. Nieco później pojawił się wpływ awangardy konstruktywistycznej, sowieckiej. Zdarzyło się to w momencie, w którym zaczęliśmy malować billboardy. To trochę podsykowało zmianę estetyki. Zaczęło się myślenie o formie w sensie projektu, w przeciwieństwie do wcześniejszych radosnych gryzmołów długopisem na kartce.

WS/PP: Dokładnie to jest intrygujące, porozmawiamy zatem jeszcze przez chwilę o tej kwestii. Jak zmienił się Wasz język: najpierw Pinokia, później Twożywa, w zależności od przestrzeni oraz relacji między – Tobie bliższą – treścią a formą, którą wybieraliście? Jak dziś widzisz to przejście z ulicy przez billboard do internetu?

ML: Internet pojawił się relatywnie wcześnie. Stworzyliśmy stronę internetową bardzo szybko, ale był to czas, kiedy nie wszyscy mieli modemy, do internetu prowadziło tylko brzęczące i kosztowne wydzwanianie do TP SA. Mieliśmy wtedy stronę na dyskietkach 3,5 cala i rozdawaliśmy ją znajomym. Dał się zauważyć się ewidentny wpływ technologii na to, co robiliśmy, bo na przykład naklejki pojawiły się w momencie, w którym technologia ksero miała szczyt. Myślę, że wprowadzenie typografii projektowej też wynika z pojawienia się programów graficznych, które są bardziej zaawansowane. Korzystanie z janusowego oblicza techniki rzuca długi cień na nasze prace. Prawie od początku mamy skrytkę pocztową, czyli jest możliwość rozmowy, otwieramy się na nią. Nie są to tylko komunikaty wysyłane od anonimowych ludzi do anonimowych ludzi, ale jest możliwość nawiązania dialogu. Tak powstały relacje; część z nich trwa do dziś.

WS/PP: Gdzie zatem, Twoim zdaniem, toczą się obecnie gry z władzą i o władzę? Ciągłe na ulicy czy raczej w sieci? Jeżeli Waszą działalność można oczywiście interpretować w tych, tu nieco upraszczających istotę rzeczy, kategoriach.

ML: Myślę, że mamy do czynienia z czymś, czego być może rejestrowana historia ludzkości dotąd nie doświadczała. Jesteśmy w trakcie procesu, który ma znaczenie już nie tylko dla ciągłości struktur danego narodu czy państwa, dynamiki faz danej cywilizacji. Myślę,

że wchodzimy w sytuację o wadze gatunkowej. Mam na myśli naszą relację z technologią, która zdaje się wchodzić w finalną fazę. Sądzę, że jest to coś na kształt wypędzania naszej świadomości z rzeczywistości materialnej, odcinania nas powoli od tego, co jest namacalne i spychania do realizowania się w wirtualnych przestrzeniach, które zaczynają być coraz bardziej sztuczne. Z drugiej strony hybrydyzacja wraz z ingerencją genetyczną przedstawiana jest jako konieczność dziejowa dla naszych ciał. Okrzyk „Contra Naturam” od zawsze napędzał nas w naszej neurozie, to jasne, ale pytanie, gdzie nas to prowadzi. Kiedy prezydent najpotężniejszego póki co państwa na świecie, niezależnie od tego, czy go lubimy czy nie, zostaje wykluczony komunikacyjnie, ponieważ jego linia programowa nie zgadza się z linią programową dostawców techniki i zarządzających technologiami, to pokazuje, że pojawiają się nowe ośrodki władzy, z którymi nawet nie wiemy, co robić. Jeżeli służba zdrowia, edukacja, wszystko ma realizować się w przestrzeni wirtualnej, między innymi takiej, w jakiej teraz rozmawiamy, to też o czymś świadczy, prawda?

WS/KK: Czy Pinokio i Twożywo byłyby dziś możliwe? Co sprawiło, że w pewnym momencie uznaliście, że Wasza misja się wyczerpała?

ML: Trzeba uwzględniać, że każde życie ludzkie toczy się w pewnych rytmach. W ludzkim życiu mamy wiosnę, lato, jesień, zimą, są pewne energie, charakterystyczne dla danego okresu życia. Poza tym narzędzia, którymi się wtedy posługiwaliśmy, przestały już spełniać swoje zadanie, bo zostały zawłaszczzone, a ludzka uwaga mocno skanalizowana. Zaczęło się po dwutysięcznym pierwszym roku, rozpoczął się sukcesywny przemarsz swego rodzaju regulacji przestrzeni. I o tym mogliśmy bardzo długo rozmawiać. Jakie to były formy regulacji, zaczynając od autocenzury



przez monitoring, to, co zrobiono na przykład z internetem. Internet w latach 90. w porównaniu do tego, czym jest teraz, to kompletnie inne medium. Aktualnie aktywność skupia się na dużych portalach, które są demiurgami naszej mentalności, zarządzającymi algorytmami bąbeli poznawczych. Kiedyś ich nie było. To była przestrzeń do zabawy, do komunikacji, do absolutnie swobodnego przesyłu danych i ścierania się różnych idei, koncepcji na zasadach absolutnej swobody i dowolności. Ja wiem, że internet cały czas „uważa”, że jest czymś takim, ale już nie jest – mówię to jako reprezentant pierwszego pokolenia korzystającego z niego. Traktujemy go jako coś naturalnego, ale według mnie to bardzo źle nam zrobi. Internet zmienia się w telewizję, taką specyficzną telewizję regulowaną, z kanałami, strukturami i hierarchiami.

WS/PP: Nie wiem, czy dobrze czytam Twoje intencje, ale pobrzmiwa tu pewnego rodzaju idealizacja, przynajmniej wczesnego, internetu. Dziś z kolei słyhać coraz wyraźniej



głosy na temat janusowego oblicza sieci: przede wszystkim jej genetycznie „libertariańskiego” rdzenia, co miałyby sprawiać, że jest ona bezpieczną przestrzenią również dla nieprzyjaciół wolności.

ML: Panowie, bez względu na regulacje ludzie nadal chcą dowiadywać się w sposób bezpośredni i mało zniekształcony tego, jaka jest rzeczywistość i co się w niej dzieje. Uciekanie na kolejne platformy, które są wykupywane albo po prostu wyłączane, powoduje, że środowiska wolnościowe stają się nomadyczne. Mam na myśli rodzaj pobierania informacji, który buduje się w trochę szerszym spektrum niż, powiedzmy, jedna główna narracja albo zestaw narracji. Ludzie różnie sobie z tym radzą. Na przykład jest taka przestrzeń bardzo nieciekawa i niezbyt bezpieczna z różnych powodów, nazywana darknetem. Oprócz tego, że dzieją się w niej straszne rzeczy, to staje się ona po prostu na naszych oczach jedyną platformą do swobodnej wymiany informacji. Kiedyś usłyszałem taki podział na trzy rodzaje wiedzy, który mi się spodobał. Pierwszy rodzaj wiedzy to ta, którą pobieram poprzez własne zmysły. Drugi

rodzaj wiedzy to ta, która zostaje mi podana, to jest wiedza zapośredniczona. A trzeci rodzaj wiedzy to ta, która wypływa ze środka, z nas samych. I mam wrażenie, że większość wizerunku i naszego rozumienia, czucia w ogóle, gdzie jesteśmy, bazuje na tym drugim rodzaju wiedzy, najłatwiej podatnym na manipulację. A ten drugi element jest modyfikowalny, można wpływać na to, jaki rodzaj wiedzy zapośredniczonej do nas trafia, prawda? Podlega to regulacjom w zależności od aktualnych narracji i części społeczeństwa wyczuwa, że coś się nie zgadza, że coś jest nie tak, coś po prostu nie gra. I zaczyna szukać, kopać, próbuje rozmawiać z sobą, ale i to zaczyna być coraz trudniejsze. Nie wiem, czy słyszeliście, że ostatnio pojawiają się głosy, by w ramach walki z chorobą, która nas dotknęła, głównie mentalnie, wprowadzić zakaz rozmawiania w środkach komunikacji miejskiej. To właśnie wydało mi się bardzo symptomatyczne. Może dlatego, że lubię naklejki, dla mnie ta przestrzeń komunikacyjna jest ważna, przestrzeń, gdzie nagle przez przypadek kilkadziesiąt osób jest przez chwilę z sobą blisko. Co one robią, czy będą na siebie patrzeć czy nie? Czy będą próbowały rozmawiać

czy nie? My nazywaliśmy to teatrem autobusowym, bo jest to coś na kształt teatru. Ktoś wchodzi, ktoś wychodzi, ktoś śpiewa, szczeka pies... Tą anegdotą chciałem zilustrować fakt, że to, kim jesteśmy, wynika z tego, co wiemy i na podstawie wiedzy o świecie decydujemy się na jakiś rodzaj działań. Bo innych motywów chyba nie ma.

Każdy „nieprzyjaciel”, który się pojawia, sprawdza nasze kompetencje na danym polu. Pytanie, które postawiłbym, brzmi: czy nieprzyjacielem wolności jest ten, który ją bada, sprawdzając jej zakres w teorii, bo internet to przestrzeń obiegu informacji, czy ten, który odgórnie reguluje ten obieg, eliminując z niego treści, wysyłając w odmęty, budując tabu i kolejne demony zwane narracjami.

WS/PP: Wracając do Waszej partyzantki semiologicznej. Biorąc pod uwagę właśnie przez nas diskutowaną problematyczność i postępującą złożoność, czy też nieprzejrzystość rzeczywistości – gdzie i jakie widzicie dziś potencjały krytyczne, dekolonizacyjne?

ML: Biorąc pod uwagę istnienie postępującego syndromu sztokholmskiego, myślę, że to nadal jest możliwe, ale będzie wymagało dosyć drastycznych cięć, redukcji naprawdę fundamentalnych. A to już się dzieje, dzielimy się właśnie znów na kolejne dwa obozy. Polaryzacja stosunku do biosfery i technologii kosztem ducha to stara triada umysłu, ciała i duszy.

Najbogatszy aktualnie człowiek świata, Elon Musk, to osoba, która z jednej strony deklaruje pewność, że żyjemy w symulacji, a z drugiej strony nie przeszkadza mu to karmić nasze pragnienie ucieczki przedłużającą się jak zwykle wyprawą na Marsa. Skoro to jest symulacja, to czemu jego odpowiedzią na ten stan nie jest znane nam z historii poznanie poszukiwanie prawdy o świecie, tylko produkowanie i wszczepianie nam do centralnego

układu nerwowego neuralinków, które mają nas łączyć z internetem – będącym esencją i źródłem metafory symulacji. Czy symulacja, którą budujemy i mamy się do niej przemieścić, jest rozwiązaniem sytuacji symulacji/maji/jaskini, w którą zostaliśmy wrzuceni? Materializm, osiągając szczyt, sam się neguje, zapewne z rozpaczy.

Myślę, że dzieje się dookoła nas mnóstwo rzeczy czysto emocjonalnych, jak na przykład sprzeczności społeczne, które ostatnio mogliśmy obserwować w Polsce i na świecie. One są uzasadnione, tylko moim zdaniem są trochę źle adresowane. Emocja jest słuszna. Sprzeciw był skanalizowany w wygodną dla *status quo* stronę i odbija się od ściany albo uderza w nas samych. Pojawiło się zarządzanie buntem, to znaczy zarządzanie emocjami i tymi elementami, o których mówiliśmy wcześniej, czyli informacją, które mogą zmieniać rzeczywistość, bo to emocja nas popycha do różnych rzeczy, nie namysł, nie refleksja. Nie zimna intelektualna refleksja nad światem popycha nas do działania, tylko właśnie emocja. Myślę, że coraz bardziej efektywnie się tym zarządza.

WS/KK: Skoro skupiasz się na bieżących wydarzeniach, chciałbym dopytać o Twoje sugestie: kto, jaki podmiot to wszystko inscenizuje? Pytam, ponieważ zostawiasz odbiorcę tej opowieści o rzeczywistości, w której żyjemy, z niedopowiedzeniem. Jacy aktorzy zarządzają naszymi emocjami?

ML: Pytania tego typu mają to do siebie, że bardzo łatwo popaść w jakieś nieszczęsne skróty. Z jednej strony dominuje normatywnie przeświadczenie, że żyjemy w rzeczywistości, która jest absolutnie przypadkowa i pozbawiona celu, to mówi nam nauka. Nauka informuje nas, że jesteśmy gdzieś na obrzeżach kosmosu. Przez przypadek powstało jakimś trafem życie, a my jesteśmy biologicznymi robotami, żyjącymi tak naprawdę tylko po to, aby przetrwać.

I sami próbujemy siebie dzielnie jakoś zorganizować, aby podtrzymać ten stan zwany życiem. Po drugiej stronie jest tradycja – powiedzmy – bardziej religijna, z zestawem symboli, teleologii zakorzenionych głęboko w przeszłości. Oba te filary postulują fałszywą moim zdaniem konieczność rozwoju, ekonomicznego lub behawioralnego; w praktyce za ośrodkami władzy faktycznie stoi zupełnie inna motywacja. I jest ona wspólna: hierarchizacja i posłuszeństwo. Zarówno kapłan, jak i naukowiec wieszczą nam rychły nieuchronny koniec, jeśli się nie podporządkujemy teraz. Między apokalipsą i „mass-extinction-global-warming-singularity” funkcjonalnie nie ma żadnej różnicy. Kłopot w tym, że żaden z nich nie jest z sobą ani z nami uczciwy, prowadzi nas grzesznik i najemnik.

Problemem XXI wieku jest nadmiar, pokłóse sukcesu wcześniej wspomnianego rozwoju. Nadmiar rozumiem bardzo szeroko, nie chodzi tylko o demografię; to również informacje, skutki industrializacji czy etyka egocentryczna. Odpowiedzią na to może być tylko regulacja. Ale jest fundamentalna różnica między dobrowolną ascezą i odosobnieniem a głodzeniem i ograniczaniem wolności. Inne towarzyszą temu emocje, zatem inne będą rezultaty.

Do tej pory były różne metody samoregulacji człowieka, najczęściej po prostu wojny, ale ponieważ były mało przyjemne, a teraz żyjemy w momencie, w którym rządzi nami pokolenie urodzone tuż po wojnie, sądzę, że trauma drugiej wojny światowej jest na tyle żywa, iż nie dopuszczamy takiej możliwości. Zresztą słusznie, bo wojna to parszywa sprawa. Jednakże jakieś metody samoregulacji muszą istnieć, więc myślę, że to jest taka nieudolna próba uregulowania siebie samych, innymi sposobami. Celem wydaje się jakość i długość życia.

Faktem jest to, że nasz gatunek stał się nie tylko liczniejszy, ale bardzo zhierarchizowany i zglobalizowany, a to warunkuje zagęszczanie się władzy na pewnych bardzo wąskich

poziomach. Moim zdaniem nie wypracowaliśmy żadnych narzędzi badania kryteriów, symetrii, celów i kompetencji tam obowiązujących. Rozwarstwienie jest tak ogromne, że trudno się dziwić, iż pojawiają się „w masie” wątpliwości i podejrzenia czasem natury fantastycznej, demonologicznej czy psychiatrycznej.

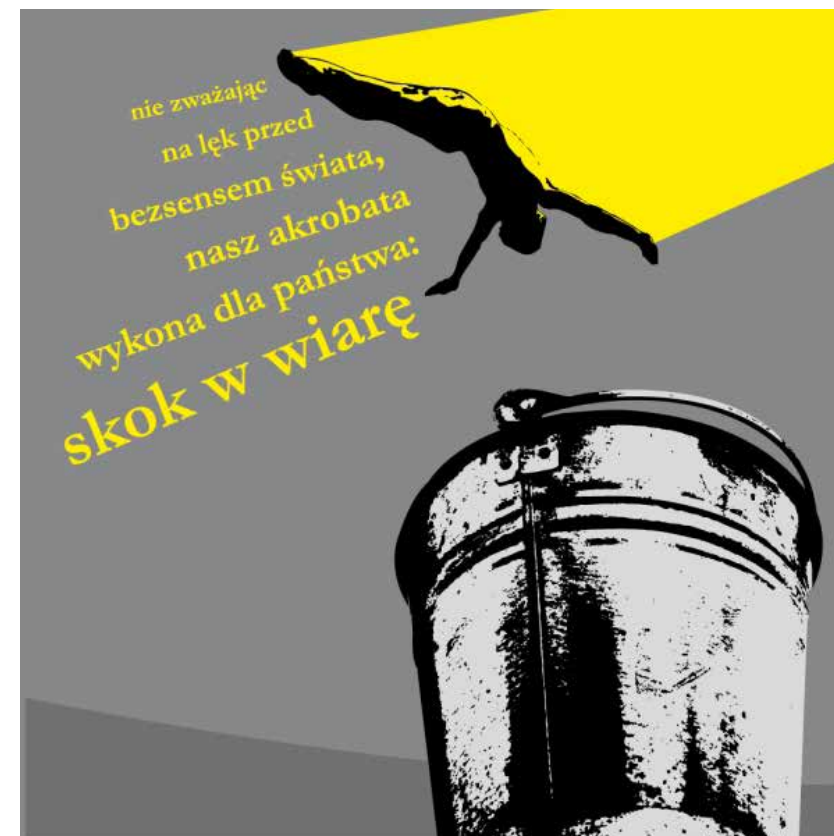
WS/PP: Mówisz, o ile Cię dobrze rozumiem, o pewnej kulturze wyczerpania i przenosisz to na poziom kryzysu czy też ryzyk związanych z trwaniem gatunku.

ML: Wiemy już mniej więcej, że wyczerpuje się oświeceniowo-romantyczna wizja człowieczeństwa. Nowego „Odrodzenia” spodziewać możemy się oczywiście ze strony technologii, ale myślę, że tym razem będziemy musieli oddać coś bardzo cennego.

WS/PP: Rzeczywiście, triumf racjonalności instrumentalnej napotyka na coraz silniejsze opory, na kontrakcję. Czy to zatem moment na – jak określiliście to w jednej z prac – „skok w wiarę”? Na ile pierwiastki duchowe, deprecjonowane przez racjonalność instrumentalną albo też, z drugiej strony, kolonizowane przez konfesyjną religijność, mogłyby mimo wszystkich zastrzeżeń stanowić sensow(n)ą alternatywę? Ujmując to może bardziej lakonicznie: czy ponowne zaczerpnięcie światła może stanowić remedium na bólączki świata odczarowanego?

ML: Uważam, że coś ewidentnie odpychamy, udajemy, że tego nie ma, a żyjemy od 150 lat w pewnym rodzaju zaślepienia, a to bardzo ryzykowne. Daliśmy się namówić, że doznajemy wyłącznie poprzez podstawowe zmysły, wszystko inne negujemy lub wkładamy do szuflady „fantazja”.

Kłopot polega na tym, że wszystko, co istnieje i działa, kiedy jest zepchnięte w „nie ma”, buduje się w ukryciu. Tak właśnie



jest z duchowością. To się nie skończy dobrze, represjonujemy jakąś część nas samych, ale ta część nabiera siły w tle i upomni się w końcu o swoje. Dramatycznie się upomni. To jest tak, jak z energią. Jak jest jej za dużo, to bardzo trudno ją kontrolować. Było to widać na przykład w Fukushima, kiedy przepalały się kolejne warstwy sarkofagu z betonu i nie można było tego powstrzymać, reaktor zapadał się coraz głębiej wraz z ziemią, łącząc się finalnie z wodami gruntowymi i przedostając się do oceanu.

A odpowiadając wprost, tak, myślę że rezygnacja z iluzji na rzecz tajemnicy mogłaby przynieść dobre skutki.

WS/PP: Intuicyjnie zgadzam się z Tobą w kwestii potrzeby dialogu, może nawet

syntezy perspektyw związanych z szeroko rozumianą duchowością i osiągnięć cywilizacji technicznej nauki.

ML: Mamy rodzaj zapotrzebowania, który znamy jako fenomen new age. Nagle astrologia wyskakuje jako coś absolutnie ciekawego, nowego, fajnego i ludzie zmieniają się w domorosłych astrologów. Widać, że jest taka potrzeba i jest ona obsługiwana przez formy eklektyczne. Wezmę sobie trochę medytacji, trochę jogi, astrologię i jeszcze postawię tarota. Niekoniecznie może wyjść z tego coś sensownego, ponieważ jest to chaotyczne i działa na zasadzie „podoba mi się / nie podoba mi się, kolega to robi, koleżanka to robi, to ja też spróbuję”. Brak nam jakiegoś namysłu, jakiejś próby zrozumienia, jest tylko pragmatyzm – czy działa, a czemu miałoby nie

działać, skoro to często starożytne techniki... Z trzeciej strony mamy problem, bo kończą nam się opary chrześcijaństwa. A wraz z nimi kończy nam się na przykład niezbędna nam pośród innych ludzi orientacja moralna w przestrzeni. Zjawisko znane z historii religii powtarzało się wiele razy i nawet wiadomo, co się mniej więcej wydarzy. Wyłoni się nowy pretenident, który będzie mniej lub bardziej zgrabną syntezą, a ze swoich źródeł uczyni demony, które trzeba tępić.

O ile można być dobrym człowiekiem samemu w puszczy, nie robić nikomu krzywdy, o tyle w skupiskach ludzkich brak regulacji moralnych kończy się tym, że zwiększamy coraz bardziej rolę państwa jako czegoś, co reguluje moralnie nasze zachowania. Ani nowe ustawy, ani jakiś Social Credit System, który możemy obserwować w Chinach, nie będą wystarczające. Ludzkie *nomos*, jak wiadomo, jest w porównaniu do *logos* bardzo zmienne. *Logos* będzie zdecydowanie bardziej klarowny dla zrozumienia mnie, mojego dziadka i prapradziadka. Natomiast *nomos*, czyli ludzkie prawo, będzie bardzo zmienne. Jeszcze jedna rzecz wydaje mi się istotna. Zanim wybuchła pandemia, świat był rozdarty pomiędzy dwoma pozornie sprzecznymi koncepcjami. Z jednej strony humanistyka, kultura i tak dalej trawiona była silnie uwieńczeniem ponowoczesności. Nazwane to zostało posthumanizmem. Ten posthumanizm odbierał nadzieję, był to rodzaj samonienawiści człowieka, który bardzo różnie się przejawiał. Po drugiej stronie jest coś, co daje nadzieję, czyli transhumanizm. To rodzaj zaufania wobec rozwoju technicznego, wobec cudownych wynalazków, które już na nas czekają, zaraz, za chwilę dostaniemy je od dobrych i kochających korporacji i laboratoriów wojskowych. Opowieść dotyczy tego, że na pewno przyniosą nam ukojenie i będą odpowiedzią na problemy naszych czasów. Ale to jakby rozwiązuje ten problem, tworząc dwa nowe. Sumą tego wszystkiego jest niestety antyhumanizm,

czyli jakaś niechęć do tego, kim jest człowiek. Więc mamy reakcję człowieka, który nie chce być już człowiekiem. Zatem kim może się stać: maszyną? Czymś, co jest pozbawione tych emocji, które go męczą, które go drażnią, z którymi sobie nie radzi, te napady paniki, jakieś lęki i paranoje. Na tego typu spektrum kłopotów, z którymi musimy sobie radzić, są teraz pigułki. Kiedyś próbowano zrobić z nas anioły, zdaje się, że się to nie udało.

WS/PP: Nie zdobywaliście formalnego wykształcenia artystycznego, co – jako brak splątania formalną konwencją – może być też postrzegane jako przewaga. Tu powstaje też jednak osobny problem, już w naszej rozmowie poruszony i przynajmniej na poły opowiedziany. Domknijmy go jednak, może nawet nieco prowokacyjnie. Czy Wasza sztuka była tak nośna właśnie z uwagi na brak przestąpienia progu uczelni artystycznej, co dawało Wam asumpt i dostęp do nieco odmiennych konceptualizacji?

ML: Upraszczając odpowiedź, akademia uczy, jak być artystą, czyli tak naprawdę wczucia się w tę postawę wraz z całym anturazem zachowań i oczekiwań, jakie się ma wobec rzeczywistości. To jest właśnie dla mnie kłopot. Moim zdaniem, akademie artystyczne nie uczą, jak tworzyć, tylko pokazują raczej, jak być artystami. I być może to, że zabrakło nam właśnie tej nauki, spowodowało, iż nie oglądaliśmy się na oczekiwania: czym jest sztuka? czym jest piękno? Zawsze wszystkim mówiłem, że nie zajmuję się pięknem, nie wiem, czym jest piękno. Proszę z tym pytaniem udać się do zawodowców, bo rzeczywiście piękno nie było naszym pytaniem.

WS/PP: To ja może skonstruję. Czy może Waszym pytaniem była skuteczność? Nawiązując wcześniej zdawkowo do propagandy powiedziałaś, że propaganda „wie”.

Jednocześnie propaganda chce być przede wszystkim skuteczna. Czy Wasze wypowiedzi miały być skuteczne? Jak na to patrzysz po latach?

ML: Na pewno aspekt skuteczności miał znaczenie, ale twórczość, kreacja, żeby dotrzeć do innych, musi używać pewnych środków, które są nietypowe i tą nietypowością, nazwijmy to brzydko oryginalnością metody, zwrócić na siebie uwagę. Dlaczego sztuka używa prowokacji? Żeby się przebić do świadomości ludzkiej, do uwagi i pamięci. Artysta nie jest właścicielem programu telewizyjnego, kanału tv czy gazety. To się nazywało kiedyś „culture jamming”. Istnieje oczywiście pytanie o intencje, bo można jak grafficiarze zamalowywać ściany swoim pseudonimem lub być ciężko chorym na jakiś „izm” i zarażać nim przestrzeń publiczną. Intencje Twożywa były inne.

WS/PP: Podejmijmy jeszcze wątek Waszego artystycznego zaangażowania. Na ile Twożywo moglibyśmy określić mianem stosowanych nauk społecznych?

ML: Przyznam, że trudno mi na to patrzeć obiektywnie. Studiowałem pedagogikę i to, czego się dowiedziałem, bardzo rezonowało z tym, co już w sobie nosiłem wcześniej. Chodzi o pedagogikę rozumianą na makrostrukturach, a mniej, powiedzmy, w pracy nauczycielskiej. Myślę, że takie tradycje rozumienia pedagogiki jako wspólnego zastanawiania się nad czymś, jako procesu, w którym ten, kto mówi, zastanawia się wspólnie z tymi, którzy go słuchają, odzwierciedla nieco Twożywo. Wydaje się to całkowicie naturalne, biorąc pod uwagę rolę i istnienie języka i symboli. Przestrzenie do wymiany myśli i sensownej rozmowy po prostu muszą istnieć, w innym przypadku jesteśmy skazani na homogenizację poprzez niezakłóconą niczym indoktrynację.

WS/PP: A co studiował Krzysztof?

ML: Geografię.

WS/PP: Czyli to specyficznie rezonowało: przestrzeń i pewnego rodzaju imperatywy pedagogiczne połączyliście w jedno?

ML: Ja, Krzysztof i Robert byliśmy typami łazików. Na pewno nie byliśmy dziećmi, które siedzą cały czas w domu. Może dlatego, że nie miałem na przykład podwórka, więc wychowałem się w całej dzielnicy; brak przestrzeni blisko domu zmuszał do eksploracji. Więc terytorium miało znaczenie, ale nie było ono puste, wypełniali je ludzie. Scenografia i aktorzy, a my pytaliśmy o reżysera i scenariusz.

WS/KK: Kiedy Przemek zapytał o to, czy twórczość Twożywa to jakiś rodzaj socjologii stosowanej, zdradzałem, nie przewidywałem odpowiedzi negatywnej, choć powinienem był przecież brać ją pod uwagę. Nie przewidziałem z uwagi na fakt, że zawsze byłem głęboko przekonany o analitycznych wartościach i funkcjach Waszej artystycznej aktywności. Chcę zapytać o prace, które są dla mnie w jakimś sensie najważniejsze, może po prostu najlepiej zapamiętane. Ciągłe do nich wracam i ciągle się w moim życiu pojawiają, pojawiają się też w życiu moich studentów i studentek. Pierwszą z nich jest „Społeczeństwo na was patrzy”. Prezentuję tę pracę na zajęciach, a moją intencją jest nawiązanie do socjologicznej figury „uogólnionego innego”, czyli do sytuacji nieuchronności społeczeństwa nawet w najgłębszych pokładach „ja”. Mamy takie wyobrażenia i pielęgnujemy je, że jesteśmy wolni i sprawczy, ukształtowani poza rolami społecznymi, w których występujemy. Ale to są tylko pobożne życzenia, krótko mówiąc, z tyłu głowy pracuje całe społeczeństwo. Chcę zapytać, czy takie



były Wasze intuicje. Mówiłeś, że dużo rozmawialiście o każdej pracy. Czego dotyczyły rozmowy przy tworzeniu pracy „Społeczeństwo na was patrzy”? Może należy to czytać prościej, jako akt opresji każdego z nas?

ML: Tutaj będę niestety szczery, bo tylko wtedy nasza rozmowa ma sens. Pytasz o pracę, która była częścią cyklu, jeżeli dobrze pamiętam kalendarza Tyrmanda. W takim układzie etymologia powstania tej pracy to po prostu cytat z Tyrmanda, który utkwiał mi w pamięci.

WS/KK: I bardzo dobrze, ale muszę zapytać, dlaczego akurat ten cytat, z jakich powodów. Akurat ten cytat utkwiał ci na tyle, że postanowiłeś się nim zająć?

ML: Jeżeli weźmiesz pod uwagę to, co teraz się dzieje, możesz zadać pytanie, dlaczego nauka zjada samą siebie. Materializm sam siebie za chwilę zagryzie. To jest ta koncepcja, która mówi, że rzeczywistość ma charakter korpuskularny, tworzy się w momencie obecności podmiotu, kiedy patrzę na podmiot jako obserwator. A korpuskularność zachodzi w momencie, kiedy nikt nie patrzy, kiedy nikt nie doświadcza rzeczywistości. Według fizyki kwantowej struktura fal jest po prostu potencjałem. Fala stwarza się dopiero, kiedy ktoś na nią patrzy. Można powiedzieć, że my nawzajem siebie tutaj tworzymy, presja społeczna działa na nas nawzajem. A jednocześnie jest w tym kontrkulturowe myślenie o władzy, tak, żeby władza pamiętała, że z tej strony też jest władza, trochę zahipnotyzowana, ale jednak

potężna. Władza urzeczywistniania potencjału. I myślę, że bardzo dobrze pamięta. Ta władza, która nami rządzi, niezależnie na jakim poziomie o tym pamięta. Pierwszą rzeczą, którą ktoś robi, kiedy dostaje awans w jakiejś instytucji albo w korporacji, jest zadbanie o to, żeby nie stracić stołka. Ten mechanizm jest niestety fatalny, bo zjada bardzo dużo naszych zasobów. Widać to teraz na przykładzie aparatu przymusu. Na świecie ludzie tracą pracę, natomiast z jakiegoś powodu tej pracy jest coraz więcej w aparatach przymusu. Czuć lęk na wierzchołku. Jesteśmy w pandemii, jesteśmy chorzy, nie potrzeba zwiększania tego aparatu, ale ponieważ władza boi się o swoje miejsce, więc potrzebuje więcej aparatu przymusu. Dobrym przykładem są też windujące wydatki na zbrojenia. To jest motyw, na którym się wychowałem: ta dziwna gra pomiędzy nami (my mamy ogromny potencjał, bo jest nas wielu) i nimi (jest ich niewielu, ale wykorzystują mechanizmy i narzędzia po poprzednikach). Tworzy się rodzaj wzajemnej gry, ale i kreowania. Sztuka też działa na tej zasadzie: ty widzisz tę pracę, ona się otwiera w ten sposób, patrzysz na nią, ona też na ciebie patrzy, jak otchłań nietzscheańska, patrzysz w otchłań, otchłań patrzy w Ciebie.

WS/KK: Przemek już nawiązywał do „Skoku w wiarę”. Ja muszę przyznać, że dopóki Cię nie poznałem i kilka razy nie rozmawialiśmy, nie otarliśmy się o tzw. metafizyczne klimaty, nie miałem głębokiego przekonania, czy Twoim było to jest grupa, która w jakimś sensie zmagają się z metafizyczną stroną rzeczywistości, czy raczej po prostu z niej kpi. I oczywiście z czasem dowiedziałem się, że się zmagają, że traktuje ją szalenie poważnie.

ML: Ale mogę mówić za siebie, za Krzysztofa nie mówmy, on już inaczej na to patrzy. To się oczywiście bardzo zmieniało i myślę, że odniósłbyś zupełnie inne wrażenie 25 lat temu.

Byłem posłusznym dzieckiem negacji. Jej znaczenie w walce o autonomię jest trudne do przecenienia, ale to tylko etap, ważny, ale nie ostateczny. „Skok w wiarę” jest również o odwadze, o naszym stosunku do irracjonalności, a to przecież też część nas.

WS/KK: Dobrze, jasna sprawa. Jak rozumieć to wyzwanie, które rzuciliście odbiorcy w tej pracy? Próbując użyć metafor, chciałbym zapytać o to, co, Twoim zdaniem, czeka skoczek po skoku. Czy potrzeba nam wszystkim odwagi, żeby obronić się przed wieloma problemami, o których już dzisiaj mówiłeś? W jaką wodę skaczymy – mętną czy krystalicznie czystą? Niedawno publikowaliście na fanpage’u cykl prac, który opatrzyliście tytułem „Patrząc w tył, widać przód”. To były prace najpewniej sprzed dziesięciu i więcej lat, które świetnie korespondowały ze wszystkim, czym teraz żyjemy. Chcę w związku z tym zapytać profetycznie, czy możemy spojrzeć jeszcze dalej. Wiem, że masz różne intuicje związane z ładem społecznym, który się wyłania na naszych oczach. Zakładając, że sztuka wyprzedza rzeczywistość, powiedz nam coś o przyszłości, proszę.

ML: Mówiąc wprost i krótko odpowiadając, albo dojrzejemy, albo utrzymamy za wszelką cenę naszą infantylnosc. I ta infantylnosc, ten strach będzie nas ganiał do takiego momentu, aż sami się po prostu poddamy albo padniemy z wycieńczenia. Po prostu padniemy. Zawsze tak jest z „potworami”, co nas gonia, że się ich bardzo boimy, ale kiedy stajemy naprzeciwko nich, po prostu przez nas przelatują, ponieważ są niewidzialne, niewidoczne, są tylko marą, złudzeniem. Każdy, kto przeskoczył samego siebie, stając naprzeciwko własnych lęków, opowiada podobną historię: że czegoś się bał, uciekał; okazywało się, że nie było przed czym, ale sam strach był tak potężny, że potrafił na przykład przepędzać ludzi przez całe życie. To

można zobaczyć u alkoholików, którzy sięgają bezdomności, szukając momentu, w którym ego się ugnie. Oni cały czas uciekają i cały czas próbują zakonserwować pewnego samego siebie. Zmienia się wszystko wokół takiej osoby, ale ona nadal utrzymuje się w formalinie alkoholowej. To ten mindset, sposób widzenia samego siebie, gdzie wszyscy inni są winni, tylko nie ja. A wracając do pracy „Skok w wiarę”, to masz pewnie świadomość, że jest to jakaś dobudowana narracja do cytatu z Kierkegaarda. On był być może jedynym, który postanowił postawić się Heglowi. Zrobił to inaczej niż Schopenhauer. Mam wrażenie, że to, co teraz się dzieje, to jest właśnie klasyczne heglowskie rozdanie. Teza, antyteza, synteza, czyli rozpuszczanie substancji, aby móc potem ją skryształizować w nowy sposób. Wiem, że to trochę dziwne, że naprzeciwko Hegla stawiamy Kierkegaarda. Weźmy choćby stan wiedzy o poznaniu, żeby nie sprawiać wrażenia, że jestem jakimś absolutnie „odfruniętym” egzemplarzem. Pomyślmy o anatomii mózgu, o tym, że mamy lewą i prawą półkulę. Lewa odpowiada za to, co nazywamy inteligencją operacyjną, strategicznym myśleniem koncentrującym się wokół instynktu przetrwania. Prawa półkula jest emitentem emocji i intuicji, snów, metafizyki. Obserwujemy definitywny konflikt, który toczy się w rzeczywistości, ponieważ te dwie rzeczy nie są absolutnie zbalansowane. Stąd mogą wynikać nasze koszmary; to jest próba zbalansowania niewłaściwej gospodarki mentalnej. Kierkegaard ze swoim skokiem w wiarę może być odpowiedzią na racjonalną, pragmatyczną totalność widzenia świata. A jeśli nie, jeśli będziemy dalej ignorowali tę duchową, emocjonalną część nas samych, to po prostu, czy to przez nas i przez jakiś błąd, czy poprzez samoregulację systemu, zapłacimy odpowiednią cenę. Zareaguje biosfera albo zareaguje sam układ, jak mawiali Indianie, rozpoznając w nas neurotyczność: Wielki Duch zrzuci na was jakiś meteoryt albo trzęsienie ziemi

i będzie pozamiatane. Karmimy się ostatnio takimi wizjami dosyć mocno, przeczuwamy, że to się może wydarzyć. Próbując odpowiedzieć na pytanie o przyszłość: bylibyśmy w stanie rozwiązać bardzo wiele problemów, gdyby postawić jedno założenie – po prostu mówimy prawdę, niezależnie od konsekwencji. Teraz, od dzisiaj, wszyscy, wszędzie, zmieniamy tylko to jedno: nie kłamiemy, nie udajemy, nie naginamy faktów, mówimy całą prawdę. Tylko ta jedna rzecz mogłaby dosyć mocno poturbować rzeczywistość. A takich kwestii jest paleta. Ale żeby móc coś takiego zrobić, wymagana jest odwaga. Dlatego właśnie to wiaderko jest w tej pracy takie nieduże, a wysokość ogromna.

WS/KK: Korespondencja między poszczególnymi pracami Twożywa jest tak duża, że w jakimś sensie odpowiadałeś na pytania wciąż niezadane. Mimo wszystko chciałbym postawić ostatnie, dotyczące wymowy „Istnienia”. Chyba warto spojrzeć na tę pracę w duchu pytań stawianych kiedyś Bekszańskiemu. Zagadywany o to, dlaczego jego obrazy są depresyjne, odpowiadał, że nic podobnego, to wyłącznie kwestia spoglądającego. To zresztą świetnie oddaje Twoje stanowisko dotyczące konstytuowania się samego obiektu sztuki. Zastanawiam się nad tym, czy słusznie jest czytać „Istnienie” jako ciąg rozpacz, które meblują nasze życie i dlatego, być może, należy spieszyć się ze skokiem w wiarę. Czy trzeba je czytać tylko w duchu Ciorana czy niekoniecznie? Innym razem przyszło mi do głowy, że może jest tak, że należy tę pracę rozumieć jako zdolność do zmiany warunków zastanych. Zdolność, którą zawsze posiadaliśmy. Nie wiem, czy gatunkowo wyszło nam to na dobre, czy na złe. Na pewno doszliśmy do momentu kryzysowego, o którym wspominasz, który wszyscy odczuwamy, wyładowaliśmy w antropocenie. Nie zdążymy



teraz tego ocenić i nie o to nam chodzi, ale pomyślałem, że są też jakieś dobre strony tego, iż w jakimś sensie zmienialiśmy te zastane okoliczności. I w tej optyce „Istnienie” byłoby wyrazem zdolności, potencjału, który w nas drzemie. Potencjału do tego, żeby zmieniać siebie i okoliczności. A wtedy to faktycznie nie jest takie smutne i nie dotyczy wyłącznie rozpacz.

ML: Kiedy słucham, jak opowiadasz o tej pracy, to mogę powiedzieć, że dokładnie o to nam chodziło. Chodziło o to, żeby otwierało się to ludziom na różne sposoby, w zależności od tego, w którym momencie na to patrzą i jak sami się zmieniają. Właśnie tego typu prace chciałbym tworzyć i to jest dla mnie chyba największa nagroda, że możesz widzieć te rzeczy wielopoziomowo i wiesz, że nie ma jednej odpowiedzi i nie o to chodzi, że dobra praca otworzy ci się w ten, a nie inny sposób w danym momencie i każda z tych odpowiedzi może być słuszna. Ja tylko mogę powiedzieć, jak to było w moim przypadku i w żaden sposób to nie rzutuje na to, jak ty ją odbierałeś. „Istnienie” było, jak zresztą masa innych

prac, przygotowaniem do okresu radykalnego zwątpienia – negacja negacji, który zaczął się ostatnim, czyli cioranowskim projektem. Tam te fundamenty zostały mocno zniweczone, aby mogły narodzić się nowe. To, co fałszywe, czy może nie tyle fałszywe, ile nabyte, musi zostać pokonane, by można było wybrać już samodzielnie to, jak się widzi samego siebie i jak się widzi świat. Przyznam, że lubię tę dwuznaczność, czy to „ist” wpadło w sieć entropii czy może wręcz odwrotnie, czyha cierpliwie na to, co nim nie jest. Kiedy popatrzyś na współczesną nowożytną filozofię, to ona się zaczyna przecież od Kartezjusza, czyli właśnie od zwątpienia. To ona rozpoczyna przygodę „ja”, wewnętrznej narracji. Potrzebne jest nam to włożenie w nawias, ten znak zapytania, aby wyrwać samego siebie ze świata. Oczywiście płacona jest za to cena alienacji, ale nie wiem, gdzie nas to wiedzie na ścieżce poszukiwania jaźni. I to jest bardzo ciekawa przygoda. To też duża odpowiedzialność za biosferę, już pal licho ten nasz nieszczęsny gatunek. Tutaj możemy naprawdę pogrywać z całą biosferą, biorąc pod uwagę nasze osiągnięcia technologiczne, prawda? 🙄